



KONŃ

NA WZGÓRZU

Eugeniusz Małaczewski

Eugeniusz Małaczewski

KOŃ NA WZGÓRZU



Fundacja Festina Lente

Pani Olimpii Ligockiej

I

...Gdy jest mi smutno, siadam i piszę. Beładnie spisuję dzieje mego życia. W pamięci zbolełej, cierpiącej nad wszelkie wyobrażenie, wskrzeszam zdarzenia z ubiegłych kilku lat.

Jestem inwalidą Wielkiej Wojny. Spędzam czas w naszych polskich górach – w Tatrach. Ciało moje znajduje się teraz w stanie zwanym rekonwalescencją, a dusza dopełnia cudownej czynności, którą nazwałbym „przychodzeniem do siebie”. Byłem daleko od siebie, daleko. Pielgrzymowałem ku samemu sobie latami całymi, brnąc przez cudzą i własną krew, ale oto przychodzę już do siebie...

Patrzę na zimowe Tatry. Cudne są. Cóż na świecie dorównać może temu powszechnemu, nieokiełznanemu wybuchowi takiej olbrzymiej masy ziemi, porywającej się kamienną potęgą ku rozwartemu na oścież błękitowi? To ziemski glob podaje swe dzikie, natężone piersi boskim uściskom nieba.

Kiedy w jasne południe oglądam śnieżne wierchy, jak się iskrzą od słońca, rażąc snopem blasków, jak gdyby wykute w kryształe górskim nabijanym diamentami – gdy się wpatruję w potężne regle, porośłe całkowicie równą jak zielone konopie smreczyną, tkwiącą raz przy razie, niby las pierzastych strzał,

zamierzonych gęstą salwą przez ziemię w wysokie niebo – skądś, od dna duszy, powstaje we mnie niewysłowiona modlitwa, zrywa się krótkim zachłyśnięciem dziękczynny szloch dla Stwórcy, iż On, który stworzył z niczego te wielkie, srebrne, porośłe strzelistym drzewem góry, zechciał również stworzyć i tę nędzę wspaniałą, jaką jest człowiek, jaką jestem ja!...

Lecz wraz z mgłą, która w pochmurne dni sączy się z wszystkich szczelin górskich, snuje się z rozpadlin skalnych i spełza w dolinę moją przytłaczającym, ponurym tumanem – zwałają się na mnie, niczym te góry niewyraźnie piętrzące się w mgłach, godziny najstraszliwszego ucisku ducha. Wałęsam się wtedy wśród smreków oślizgłych od wilgoci, zwieszających bezwładne gałęzie, niby strzępy mokrej, zetłalej odzieży i w znękaniu niezmiernym tęsknię do dobrego słońca. Nadchodzi wtedy mój dawny smutek. Czuję, czym w istocie swej jest moja cielesność, zmiażdżona przez wojnę. Obmierźle siebie czuję, jak gdybym nie ludzką był istotą, ale ociążałym worem schorzałego cielska, napełnionym miazgą zdruzgotanych kości oraz luźnymi motkami nerwów, wyszarpanych ze mnie nitka po nitce, jak na bandażu do ran wyszarpuje się stare płótno.

Na mych przechadzkach samotnych chce mi się wtedy drzewa przydrożne obejmować, przyciskać je do piersi ramionami z całej siły i płakać w głos, płakać wielkim, niepowstrzymanym płaczem...

II

W pamiętnym na wieki sierpniu, kiedy to wszystkie lądy i morza, pogrążone w gnuśnym pokoju, stanęły naraz w ogniu

wojny powszechnej, na pola wielkich bitew wyruszyłem i ja, wtłoczony muszę w nie swój, nie polski szereg.

Do owej chwili gospodarowałem roztropnie na morgach odziedziczonych po ojcu, ciesząc się sławą zawołanego na całą okolicę hreczkosieja. Na gospodarstwie został ekonom, wąsаты szlagon, stary wyga folwarczny, pełen osobliwych cnót ekonomskich, z okrągłej tuszy i ogorzałości czerstwych lic podobny do bochenka dobrze wypieczonego chleba. Legenda folwarczna głosiła wprawdzie, że pan ekonom nie raz ciemną nocą moją pszenicę – sandomierkę wyprzedaje ponoć przebiegłym żydowinom, a robi to po kryjomu, na własne wyłącznie ryzyko – lecz były to pogłoski trudne do sprawdzenia. I sąsiedzi zazdrościli mi mego wielkorządcy, z którym w niezakłóconej żyliśmy harmonii.

W charakterze dziedziczki samorządnej pozostała w domu siostra, dużo ode mnie młodsza dziewczeczka siedemnastoletnia, typowa „panienka ze dworu”, błękitnooka i jasnowłosa istota z rumieńcami wiejskiego zdrowia na wiecznie przekornej buzi. Przepasana fartuszką z różowego perkalu, rządziła się w całym domu jak szara gaska. Było to niepodzielne jej królestwo. Z powodu jej młodości nie brałem jej zupełnie na serio. Gdy zabierała głos w sprawach należących do mnie, karciełem ją żartobliwie, mówiąc: „Cicho mi bądź, smarkata! Głos słyhać, a osoby nie widać”! Po śmierci rodziców zostaliśmy z „osobą” sami, we dwoje. Kochaliśmy się ogromnie. Wiele jest różnych miłości na ziemi, lecz która z tych przewyższy miłość brata i siostry? Mierzyć ją wolno jedynie jej własną miarą. Ona jest szczytem ludzkich miłości. Wyższe ponad nią jest tylko ubóstwianie anielskie, podobnie jak nad perłowym obłokiem wiosennym istnieją tylko lazury wieczyste. Gdy się Królestwo Boże spełni na ziemi, wszyscy ludzie będą się kochać taką miłością...

Nagle rozstanie, spowodowane moim pójściem do wojska, spadło na nas oboje jak cios naprawdę wielkiego nieszczęścia. Do śmierci będę pamiętał szeroko rozwarte, strasznie zapłakane oczęta i to naleganie, prawie dziecinne:

– Wracaj, braciszku, cały i zdrow. Wracaj czym prędzej, jak tylko będziesz mógł. Tak mi jakoś serce kraje się okrutnie. Nie masz pojęcia, jak ja cię bardzo kocham.

Od tego czasu nie widzieliśmy się więcej. Marychna było jej na imię.

Wkrótce po rozstaniu linia frontu odcięła mnie od moich okolic. Nie otrzymałem ani jednego listu. Wojna całkiem mnie pochłoneła. Po pierwszym roku, spędzonym w ciągłych marszach i kontrmarszach, w ustawicznych potyczkach i bitwach, przyzwyczaiałem się znakomicie do nowego rzemiosła. Przestało mnie nawet razić to morze moskiewszczyzny, które się rozlewało dokoła. W jego przyptywach i odpływach, zwycięstwach i pogromach, czułem się niby jedna kropla wśród niezmiernych wód, porwana na oślep pędem żywiołu, biernie wierna swej fali. Przekonałem się, że człowiek wszystko zniesie, wszystko przeczeka, że wszystkim się zżyje. Wszędzie bowiem, gdziekolwiek jest on przechodniem na ziemi, są ludzie – bliźni jego, nie lepsi od niego i nie gorsi. A wszystkich łączy w jedną olbrzymią, chociaż śmiertelnie zwaśnioną rodzinę, ta oto cudowna wspólnota: odwieczna w każdym iskra człowieczeństwa, owo nieugaszone boskie „coś”, które jest starsze od różnic rasowych, mocniejsze od zbiorowej nienawiści narodu do narodu, większe od bohaterstw wojennych, a w swej cierpliwości promieniującej – trwalsze niż grudka radu, drogocenniejszego, jak wiadomo, od diamentów najczystszej wody.

Rok mijał za rokiem. Pięćdziesiąt pięć milionów zbrojnych mężczyzn wyrzynało się na ziemi i pod ziemią, na wodzie,

pod wodą i w powietrzu. I z germańskiej pychy, zaślepionej w sobie nawet wtedy, gdy w gruzy już się waliła, z niesłychanego bohaterstwa verduńczyków, z krwawej, mrocznej, ohydnej, niby pospólny dół cmentarny, otchłani rosyjskiej rewolucji – wyłaniała się Polska. Tak, jak z nocnej wichury i zaprzepaszczonych wśród nawałnicy gwiazd wstaje różanopalca jutrzenska, a nad ścierniskiem polnym w krwawych łunach zapala się spóźniony świt. Podnosiła się z półtorawiekowej mogiły jako wielki Łazarz z grobu się dźwigający, owiązany chustami, z przepaską na niewidzących oczach. Stawała się wbrew przewidywaniom mądrych i silnych, posłuszna miłości głupich i do niedawna wobec świata słabych, a rosła na miarę rojeń szaleńców i ponad miarę ich marzeń najśmielszych.

Po całym świecie byliśmy rozproszeni – marzące, rozteśknione dzieci Wielkiej Wdowy. I Pani nasza zaczęła nawoływać nas ku sobie, zbierać ze wszystkich opłotków, gdziekolwiek chodziliśmy luzem, ściągać ze wszystkich rozstajnych dróg, z ciernistych ścieżek krzyżowej włóczegi. Jak się na wiosnę do swego kraju ojczystego zbiera ptactwo wędrownie, by łązawym sznurem ciągnąć nad stepami i śpiewnym lecieć stadem przez góry, rzeki i morza – tak i rozproszone żołnierstwo polskie gromadziło się tu i ówdzie, płynęło ku Polsce przez równik i biegun, w różnokolorowych mundurach obcych wojsk – na podobieństwo strumyków wielobarwnych. Strumienie wędrownych szeregów, łącząc się po drodze, tworzyły rzeki wojenne: dywizje, korpusy. Aż wszystko zlało się w jedno morze głów rogatych czapkami, w armię narodową, w zbrojną siłę wolnego państwa.

Jako nie legionista już ani powstaniec, lecz jako regularny żołnierz Niepodległej Ojczyzny, miałem wielki honor przelewania krwi cudzej i własnej, walcząc w bohaterskich szeregach Dywizji Syberyjskiej. Dzieje tych oddziałów,

wędrujących w ciągu dwóch lat tam i na powrót przez wszystkie rzeki Azji, jakie wpadają do Morza Arktycznego i brnących przez tajgę sybirską (wobec której Puszcza Białowieska wydaje się małym gajem), w nieustannym ogniu bitew, w znoju przeraźliwych upałów letnich, w mrozach, od których wieczne bagniska stają się w zimie jakby morzem do dna szklanym, zaś pnie drzew puszczańskich tężeją w żelazne słupy, wrosnięte w zmarzły spiz gruntu, pokrytego śniegiem i lodem – to epopeja rycerska, jakiej żadna nie wysłowi pieśń. Tylko jej uczestnikom na samo wspomnienie o tym, co przeżyli, ścina się w żyłach krew i spóźnione zdumienie mdli serce, że wszystko to stało się rzeczywiście, a oni jednak żywią się i wolni.

Walczyliśmy z hordami bolszewików, idąc ramię w ramię z hordą Kołczaka, która nie miała nad przeciwnikiem żadnego tytułu do wyższości, i tu, i tam – ta sama dzicz ludzka, o jakiej Europejczyk nie może mieć najmniejszego pojęcia. Nie pamiętano o nas w kraju – młode państwo miało na głowie tyle ważniejszych trosk...

Sponiewieraliśmy się i zdarliśmy na nice. Tylko cudowna jakaś obręcz nieugiętego ducha trzymała nas razem przez tak długi czas; że się nie rozpadliśmy jak rozeschnięte klepki. Kto nie był z nami, ten nigdy nie zrozumie, co znaczą te straszne słowa: umrzeć z tęsknoty za Ojczyzną...

Odkryłem we własnej duszy olbrzymie, dziewicze obszary, leżące odłogiem. Dopracowałem się w sobie do rzeczy nowych, o nieprzemijającej wartości. Ale tego jednego nie mogłem się nauczyć: czuć wzdarcie dla motłochu, z którym walczyłem, nienawidzić jego nicości moralnej, odsądzać go od pierwiastków ludzkich.

Ocieralem się, jako niedoszła ofiara, o krwawą robotę czerezwyczajek, widziałem trupy moich żołnierzy, dobitych na polu obcasami w twarz, żywcem odartych ze skóry,

spalonych na wolnym ogniu. Oglądałem u swych stóp martwe ciała towarzyszy broni, zmasakrowane w sposób, który nawet na fotografiach, zrobionych na świadectwo, wzbudzał w widzu nieprzezwyciężone torsje obrzydzenia i lęku. Wtedy już czułem, że to nie jest zwykły mord, zwyczajna wojna. I zaczynałem pojmować, że na mordowanie się według humanitarnych paragrafów haskich i genewskich konwencji nie ma miejsca ani czasu tam, gdzie o samą duszę Ludzkości śmiertelny toczy się bój...

Mijały miesiące. W szeregach naszych zaczęto przebąkiwać o powrocie. Dokonało się to wkrótce, prędzej nawet, niż się spodziewaliśmy. Luźne hordy kołczakowskie zaczęły katastrofalnie topnieć w pamiętnym odwrocie na wschód, ohydą, paniką i podłością przewyższającym wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się w dziejach wojen. Przygodni sprzymierzeńcy nasi, sławetni czescy legioniarze, w tym bezhołowiu wiedli prym. Wskutek ich tchórzostwa i zdrady większość wojska polskiego musiała złożyć broń i poszła w niewolę gorszą od śmierci. Tylko garstka istnych desperatów, z walecznym pułkownikiem Skorobohatym–Jakubowskim na czele, wydarła się z pierścienia wojsk czerwonych i na piechotę, wśród niezmiernie mroźnej wichury śnieżnej, zwanej w tamtym kraju purgą, z odmrożonymi do kości nogami, dowlokła się do Władywostoku. Stamtąd na obcym statku popłynęliśmy do Gdańska.

Kilka miesięcy trwała podróż wodą. Objechaliśmy bez mała pół świata. Tymczasem w granice Polski wdarła się nieprzyjacielska nawałnica. Wróg sięgał pod Warszawę. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie dopłyniemy do lądu i staniemy na zagrożonej ziemi twardą żołnierską stopą. Wiedzieliśmy, że czeka nas nowy trud.

O poranku perłowym od morskiej, bladoróżowej mgły ujrzeliśmy z pokładu okrętu podłużną smugę, ciemniejącą na

dalekim horyzoncie. To my zbliżaliśmy się ku niej, ale wydawało się, że to ona – ojczysta ziemia – do nas się zbliża, że wyszła na spotkanie nasze i ku nam płynie, wbrew falom toczącym ku lądowi.

Ziemia odzyskana nie podarowała mi nic, co by mnie uczyniło szczęśliwym. Stała się wręcz szczytem Golgoty mego życia. Ale nie złorzeczyłem jej za to. Niech będzie pochwalone jej święte imię. Niechaj na wieki będzie pochwalone jej imię przenajświętsze, jak wtedy... W ów cudny, niezapomniany poranek powrotu, gdy skrawek lądu ojczystego, podpływający na grzbiecie fal, przedziwnie zamazywał się nam w oczach, nie wiadomo – czy to od nagłych łez, czyli od rozpląsania pod nami wzruszonej głębi Bałtyku...

III

Nieomal wprost ze statku wysłano mnie na front, gdzie zaprząłem się od razu do twardej służby. Był to bowiem czas, gdy w Polsce każdy do boju zdalny „bagnet” wyciągano z rezerw i słano skwapliwie w pole, podobnie jak niefortunny gracz wygrzebuje z mieszka resztę pieniędzy i rzuca je na stół, żeby się odbić w ostatniej grze. Tak też i garstkę żołnierstwa, która przywędrowała z dalekiego Wschodu, przekształcono i rozwinięto naprędce w tak zwaną Brygadę Syberyjską i posłano bronić Wisły, bo aż tam zapędził się wówczas wróg.

Na samym wstępie przeczułem, że mnie w ziemi ojczystej zacznie ścigać zły los. Moja wieś okazała się znów po tamtej stronie nowego tym razem frontu. A, co najgorsze, siostra Marychna została na wsi i przed inwazją wojenną nie schroniła się bynajmniej do bezpieczniejszych miejsc, jak to

roztropnie uczyniło wielu innych. W liczbie takich roztroptniów spotkałem mych sąsiadów o miedzę, którzy z Marychną widzieli się przed wyjazdem. Pocieszali mnie, że urosła już na dużą, ładną pannę, że w czasie mojej nieobecności dzielnie sobie poczynała, do niczyjej nie uciekając się pomocy, że wreszcie – święcie wierzy w mój powrót z wojny, chociaż corocznie, w dniu mych imienin, ofiaruje za mnie solenną mszę (gdyż skądś przez kogoś doszły ją wieści, jakobym gdzieś, kiedyś miał zginąć, ale nie wiadomo, czy na pewno). Jednocześnie odbijało mi się o uszy, jak to bolszewicy rządzą się po swojemu w zajętych miejscowościach. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, co znaczy dla samotnej dziewczyny, a nadto „dziedziczki”, wpaść w ręce dobrze mi znanych wschodnich sankiulotów. Ile razy więc myślałem o Marychnie, przeczucie strasznego nieszczęścia po prostu ścinało mnie z nóg.

Dziwny jakiś traf zrządził, że kierunek kontrakcji naszej brygady rozwinął się właśnie wzdłuż dróg prowadzących do mojej okolicy. Po nagłym załamaniu się generalnego ataku nieprzyjaciela na linię Wisły i odparciu go od Warszawy, zwycięstwa zaczęły przypadać wojsku polskiemu.

Dwojąc się i trojąc w powszechnym natarciu na zuchwałego wroga, forsownymi marszami dosłownie deptając mu po piętach, ledwo nadażaliśmy z roznoszeniem na bagnietach i szablach bosych i głodnych grup najeźdźców, którzy, potraciwszy głowy i dowódców, umykali w popłochu, czasami tylko broniąc się z rozpaczą i rozjuszeniem osaczonego zwierza.

Po niejakiem czasie straciliśmy nawet łączność z rozbitym nieprzyjacielem. Uchodził zawsze o dzień drogi marszu przed nami, plądrując, niszcząc, paląc i rabując, co się da. Jako dowódcy kompanii piechoty, dano mi rozkaz zajęcia i utrzymania, aż do nadejścia sił głównych, pewnego wzgórza,

które było położone na rozstaju dróg, skąd kilkanaście tylko wiorst dzieliło mnie od wsi Jaskroniec, w której miałem posiadłość i gdzie została Marychna.

Prawie bez przeszkód, wyłapując jedynie maruderów oraz czerwonoarmistów, brodatych Wielkorusów chcących się poddać dobrowolnie, dotarłem pomyślnie do wskazanego rozkazem miejsca. Na owym wzgórzu u rozstajnych dróg stał znany mi z dawien dawna dworek, otoczony starym parkiem. Właściciele uszli przed burzą wojenną, zaś zdobywcy stali tam przez jakiś czas kwaterą, o czym świadczyły wymownie ślady ich krótkiej, ale – że się tak wyrażę – doszczętnej gospodarki.

Do tego dworku miałem zawsze osobliwy sentyment. Leżał na drodze do powiatu, którą jeździłem do szkół za czasów mego chłopięctwa. Ile razy mijiałem to miejsce i wtenczas, i potem, uderzało mnie zawsze wielkie podobieństwo tego domu i ogrodu, i w ogóle całego obejścia, do własnego mego gniazda, gdzie się urodziłem, wychowałem i żyłem z Marychną przez tyle lat.

Skoro więc rozstawiłem placówki i posłałem dowództwu odpowiedni meldunek, nie mogłem się nie poddać dawnemu sentymentowi i ze szczerym wzruszeniem jąłem lustrować opuszczone obejście, począwszy od domu.

Smutny obraz dawało to domostwo, urządzone widać w ciągu długich lat, może paru stuleci. W czcigodne naczynie, wznoszone i przebudowywane przez szereg pokoleń, kształtujące zbiorową duszę szlacheckiej rodziny, od dziadów-pradziadów tu osiadłej, rojne od wspomnień droższych nad relikwie, pełne żywego smutku i radości tych, co się w zaciszu starych ścian urodzili, żyli i pomarli – wdarł się żywioł obcy, wrogi i niszczący. I pohulał, dogodziwszy niszczycielskim swym instynktom.

W oknach nie została ani jedna cała szyba. Nie od kul wyleciały – najwyraźniej powyślukiwano je naumyślnie kolbą,

kijem, pięścią, z żołdackiej chandry, dla zbytku. W pokojach cała posadzka była dokładnie wyważona, klepka po klepce wydarta ze spojeń. Pośrodku izby, kiedyś jadalnej, pozostała kupa popiołu i węgla po ognisku, wznieconym z połamanych mebli. Komu i po co przydał się ten ogień – nie wiadomo; było lato, upał dokuczał nawet w nocy, a dla uwarzenia stawy znajdowała się obok dobrze urządzona kuchnia. Wszystkie meble, szafy, kredensy leżały w drzazgach, szczapach i strzępach. Nogi co krok deptały po szkle z roztrzaskanych luster. Tapety tu i ówdzie powydzierano pasami od sufitu aż do podłogi, ściany okryto szeregiem odręcznych napisów i rysunków kredą, węglem lub dziegciem, utrzymanych w stylu owych prymitywów, które zdobią mury i parkany moskiewskich koszar, więzień i fabryk. Doborowa biblioteka, składająca się z paru tysięcy starannie oprawionych ksiąg, była teraz tylko zwichrzoną stertą podartych, zatłonych szpargałów.

Uwagę moją zwróciła duża księga in folio, leżąca na podłodze w niedbałym rozwarciu i roztrzepaniu kart, z resztkami grubej pozłoty na brzegach i grzbiecie, tłoczona czcionkami greckimi, na papierze pożółkłym od upływającego czasu. Nachyliwszy się, zapuściłem wzrok między wiersze. Owiała mnie wspomnieniem znajoma treść: boski Platon bronił w obliczu wieków nieśmiertelnego Sokratesa... Przebiegłem oczami kartę do samego dołu i odwróciłem ją, sam o tym dobrze nie wiedząc. Wtem nagły fetor odepchnął, odtrącił mnie od rozwartej księgi... Odwróconą kartę ohydną, lepka kałużą okrywały rozlane odchody ludzkie. Jak się przekonałem, wszystkie wykwinniejsze księgi tej biblioteki przygodni czytelnicy potraktowali w ten sam sposób, co opisanego wyżej Platona.

I co w ogóle szczególnie mnie uderzyło w całym tym rozgromionym domu, to mnogość tego specyficznie

moskiewskiego zostawiania po sobie zelżywej, śmierdzącej pamiętki: w każdym kącie, w pośrodku każdego pokoju, na parapetach okien, na rozprutych materacach łóżek, na potłuczonych klawiaturze rozbitego fortepianu. Szczególna to chęć robić ze wszystkiego kloakę. Jeśli ślad obecności tych ludzi jest taki, cóż dopiero dziać się musi w nich samych – pomyślałem...

Ból prawie fizyczny targnął moją duszą. Wybiegłem co tchu z zapowietrzonych izb, aby się przejść po ogrodzie.

Lecz i tu ścigała mnie zmora w obrazie krzewów roślin południowych, które wyniszczone były w sposób niezwykle gruntowny tak, aby nigdy już odrosnąć nie mogły; w obrazie malw, róż, georginii, słoneczników, pościnanych snadź ciosami kija czy też knuta; w obrazie urodzajnych jabłoni i grusz, których gałęzie obciążone obfitym, zielonym jeszcze owocem, zwisały, wsparte czubem o stratowaną murawę; odłamano je od macierzystego pnia, który świecił w miejscu obdarcia gałęzi okrutną białą raną.

Uciekając od tych widoków zboczem porośłego gęsto wzgórza, zabrnąłem aż nad staw, będący właściwie dużą sadzawką, sakramentalnym dodatkiem „parku” w każdym niemal obejściu dworskim w Polsce.

Woda, obrzeżona gajem tataraków, lśniła w sierpniowym słońcu jak żywe srebro i jak szczere złoto. Bliżej zarośli brzegów wydawała się być szczelnie okryta mnóstwem dużych, mokrych szmaragdów: to rzęsa wodna oraz wywrócone na kształt płaskich talerzy lśniące listowie przekwitłych nenufarów leżało na wodnej tafli, niby zielona łuska bajecznych płazów, uśpionych w południowym upale.

Z rozkoszą zanurzyłem wzrok w tym zakątku wilgotnej zieleni. Wtem zwidziało mi się, że w pośrodku srebrno– złotej wody nieruchomieje coś białego, coś niby kilka kęp śniegu, kiedy wraz z lodem taje na wiosnę w odmarzającym stawie.

Po uważnych oględzinach rozpoznałem, że są to martwe łabędzie. Jeden, drugi, trzeci... piąty... dziesiąty... Powystrzelano je zapewne, ot, tak sobie, dla moskiewskiej, hulaszczey zabawy.

W drodze powrotnej szczegół inny, nierównie więcej przykry, zwrócił moją uwagę. Idąc aleją wygracowaną nad brzegiem stawu, ujrzałem jeszcze kilka łabędzi. Były również martwe. Ktoś wpadł widocznie na pomysł osobliwy. Młode sadzonki wierzb nad stawem czyjeś ręce rozłupały toporem czy szablą, od góry aż do korzenia i w otrzymane stąd widły, sprężyste zwierające się rozdartymi połowami, powszczepiano wysmukłe, długie szyje ptaków. Płaskie ich głowy z rozwartym szeroko dziobem zwisały martwo z jednej strony drzewek, zaś z drugiej – obsunęły się bezwładnie ptasie tułowia z rozpaczliwie rozpostartymi skrzydłami, których pióra wbiły się, wgrzebały w ziemię, niby zgrabiałe palce zmarłych w męce. Szary i biały puch wyścielał dokoła trawę i słaniał się za najlżejszym powiewem.

– Łabędziom nawet, za to jedno, że były „pańskim” ptactwem, nie darowali – pomyślałem w zgryzocie i paniczny lęk o Marychnę chwycił mnie nagle za gardło, a ścisnąć zaczął, jakby to mnie wszczepiono szyją w owe drzewne widełki, zwierające się sprężyste rozłupanymi połowami.

Cały nieswój, dygocąc z obrzydzenia, podążyłem w stronę rozstawionych za parkiem placówek, niby to w celu sprawdzenia, jak się służba pełni, w istocie zaś po to, żeby coś zrobić, czymś się zająć, żeby tylko nie pozostawać dłużej sam na sam z sobą, z moją męką, pęczniejącą mi w głowie jak obolały, gnijący wrzód.

Ledwo się z parku wydostałem, a natrafiłem od razu na mych żołnierzy. Kilku z nich zgromadziło się pod murem ogrodu. Mówili bardzo głośno i wszyscy razem, pilnie ze wszystkich stron oglądając coś znajdującego się na ziemi. Na

mój widok ucichli i rozstąpili się, dając mi przejść. Rzuciłem okiem w dół na rzecz, która wywołała zbiegowisko. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś niesamowity, pokraczny grzyb, białawy i bardzo duży, po niedawnym deszczu wyparł się z mokrego gruntu.

– Melduję posłusznie – powiedział któryś – względem tego, co wiejskie ludzie powiadają, że tutaj ma leżeć nasz polski oficer. Ciężko był ranny, powiadają. Ponad lasem znalazły go bolszewiki po jednej bitwie i przywłokły, psiekrwie, aż tutaj; ciągli za nogi, włócząc głębia po ziemi, ta i zakopały żywcem, nieboraka. Ino ręką z tamtego świata kiwa nam teraz... Marny los, panie poruczniku!...

Ukląknę, aby się lepiej przyjrzeć. Nie nasuwało się żadnych wątpliwości, że ręka stercząca z ziemi należy do człowieka, zakopanego żywcem. Dokoła kiści ziemia była szczególnie wzruszona. A w zastygłym na wieki ruchu samej ręki było coś, mrozącego krew w żyłach: wymowna, chociaż niema jak śmierć, opowieść umarłego gestu o strasznym skonie istoty żywcem pogrzebanej, która ostatnim wysiłkiem rozpacz, z podziemnym krzykiem ust pełnych gliny, siliła się wydostać na powietrze, lecz tylko tą ręką, okropną ręką trupa, zdołała wydrzeć się z grobu na świat...

– Sterczy ku Tobie błagalna dłoń! – samo się tak określiło w mej myśli, werselem z ponurego *Chorału*, zjawisko spod ziemi wystające, pozywające Wojnę przed sąd Boga Żywego...

Po ziemistym już ciele owej ręki biegają kilka skrzętnych mrówek, jak to mrówki zazwyczaj biegają po czymś: pospiesznie, niby to bez żadnego celu, po mrówczemu. Wszystkie palce, prócz wskazującego, układały się w nieszczelną pięść, ten jeden zaś, niedołącznie przygarbiony, wskazywał kędyś na ukos, w niewiadomy punkt. Wpełzła nań właśnie boża krówka, podobna do toczącej się kropelki krwi,

wydostała się na koniec paznokcia, po czym rozpołowiła powoli twarde korale swych łusek, wreszcie rozpięła błoniaste skrzydełka i odleciała w sierpniowy błękit...

– Sierzancie! Gdzie jest sierżant? Zawołać sierżanta! – krzyknąłem, nie wiedząc o tym, że głos mój brzmi charkotliwie jak bełkot, pomieszany z jękiem, i że na twarzy jestem blady i ziemisty jak ta z podziemi wskazująca na coś ręka.

– Ściągnąć zaraz wszystkie posterunki. Opatrzeć broń. Za kwadrans maszerujemy do Jaskrońca!...

Serce tłukło się mi po całej piersi w szalonym tempie niby sto bębnow, głuchym warkotem uderzających z nagłą na alarm.

IV

Maszerowaliśmy posuwistym, żołnierskim krokiem po szosie do Jaskrońca. Patrol, ubezpieczający kompanię w marszu, prowadziłem osobiście.

Mijało południe. Skwarne słońce sierpnia lało nam na głowy istny żar, lotny ukrop promieni, spadających z góry prostopadłą ulewą niemiłosiernego blasku.

Po obu stronach szosy trawiło się na upale dorodne zboże, stojące płowym murem, od tygodni już dojrzałe, którego w tym roku nie uprzętało z pola. Wyblakłe chabry i różowiejący kąkol zwiędły od gorąca wśród pochylonych od wagi ziarna przejrziałych kłosów. Mnóstwo niewidzialnych koników polnych wstrzykiwało niezmordowanie w ciszę południa namiętne suche swe ciurkanie.

Co chwila z gęstwiny zbóż wzbijał się motyl żółty albo biały i odprowadzał mnie długi szmat drogi, trzepocząc się natrętnie

dokoła głowy, jak gdyby coś nagłego chciał koniecznie powiedzieć, a nie mógł, nie umiał, więc tylko niemym popłochem skrzydeł niby przejmującym szeptem na ucho – wciąż szeleścił i poszeptywał.

Oprócz strzykania koników polnych, szelestów motyli i odgłosu naszego stąpania, nic nie mąciło ciszy wielkiej, ciszy upalnej, od widnokregu do widnokregu panującej na obszarach łąków, obumarłych w tej godzinie.

Z nateżeniem najwyższym wsłuchiwałem się w tę martwość powszechną. I było mi tak, jak wtedy, kiedy w domu, w porze poobiedniej, nasłuchuje się tykotania zegara, ustawionego obok: chwilami odgłos wahadła, nagle urywając się, milknie, a jednak wiemy, że jest to tylko złuda nasza. Naraz w chwili, gdyśmy się tego najmniej spodziewali, odzywa się metalowe sylabizowanie wahadła, a takie wyraźne jest i donośne, jak gdyby zegar szedł wewnątrz głowy słuchającego. Potem znów powtarza się ta ułuda, trwa jakiś czas, miarowy dźwięk, zgubiony w ciszy, znów wpada znikąd do uszu i, tykocąc jakoby w głowie, rozbrzmiewa jeszcze dobitniej.

Tak też chwilami głos koników polnych i trzepot motyli, i stąpania żołnierskie umykały zupełnie mej uwadze, w żaden sposób uławić ich ani rozpoznać nie mogłem. I robiła się cisza przygniatająca jak na dnie oceanu, pod warstwami zmartwiałej wody grubości kilku tysięcy stóp. Zdawało mi się wówczas, że ktoś mnie woła, ale ów straszny, rozdzierający czyjś krzyk o pomoc dotrzeć do mnie nie może...

Już w chwilę potem uszy moje odtykały się nagle i znów słyszałem wszystko, co było do słyszenia w ciszy polnej. Aż oto ponownie obejmowała mnie całego ta głuchota dziwna i znów przeczułem czyjś krzyk gwałtowny, rozdzierające wołanie o pomoc, które dojść do mnie nie może... I było mi tak przez cały czas drogi.

Po paru godzinach pośpiesznego marszu dotarliśmy do pagórka przy drodze. Stała tam na jakąś pamiątkę Męka Pańska, z daleka widoczny stary krzyż wyciosany z potężnych belek. Pozostawało tylko minąć pagórek, potem przejść niewielki zagajnik, rosnący nade drogą, a nagle Jaskroniec ukazywał się wyraźnie jak na dłoni. W zagajniku zostawiłem kompanię, powierzywszy komendę sierżantowi. Chłopcy ledwo już szli, a tak obficie złani byli potem, że wyglądali jak po ulewnym deszczu. Sam zaś, z kilkoma żołnierzami wybranymi na ochotnika, wyruszyłem na zwiady przez zboża gęste i bujne na chłopa, aby do Jaskrońca dotrzeć niepostrzeżenie, gdyż nie byłem pewny, czy się tam nie spotkamy z jakimś większym oddziałem nieprzyjacielskim.

Sprawność wszystkich zmysłów powróciła do mnie. Byłem spokojny i więcej zaczęło mnie obchodzić pomyślne odprowadzenie patrolu oraz należyte zrobienie wywiadu, niż to, co się mogło zdarzyć w Jaskrońcu.

Rowami, zarosłymi badylastą pokrzywą, dotarliśmy do muru, okalającego folwark, ogród i mój dom. Nie spotkaliśmy po drodze żywej duszy. W jednym tylko miejscu szpica patrolu wypłoszyła z gęstwiny burzanu kureę, cierpliwie wysiadującą naznoszone w ukryciu przed ludźmi jaja. Spłoszona czubotka wydostała się na wierzch muru i darła się bez przerwy gdakaniem wielce rozgłośnym, aż w obawie, by nie zdradziła naszej obecności, musieliśmy uspokoić ją kamieniem. W pobliskiej wsi smętnie piały koguty, rozmarzone słońcem i ciszą. Poza tym okolica wydawała się krajem umarłych albo śpiących głęboko w biały dzień.

Podsadziwszy się nawzajem, przeleźliśmy ogrodowy mur, po czym zrobiliśmy małą tyralierę i, z bronią do strzału gotową, zaczęliśmy skradać się przez ogrodowe krzaki i zarośla, po bujnych trawnikach (nieskoszonych pomimo późnej pory!) do domu, który w przestrzałach liściastej,

szczelnej, zwichrzonej zieleni białał śnieżnymi łatami powapnionych ścian.

W rozkwitłych krzakach bzu i jaśminu, rosnących przed samym domem, zatrzymaliśmy się na krótką chwilę, wyczekując, czy z domu nie doleci jakiś głos. Nie było słyhać nic. Budynek z pięterkiem, położony przed nami o kilkanaście kroków, sprawiał wrażenie domu wymarłego. Wszystkie okna rozwarte były na oścież, jakby je pootwierał i tak zostawił powiew gwałtownego wiatru. Przywiewdły na upale bluszcz zwieszał nieruchomo swe liściaste firanki i serwety, które sięgały spod dachu aż do przyciesi domu. Biel ścian upiornie jaskrawiła się w słońcu. Pod jednym z bocznych balkonów na czerwonym żwirze dziedzińca leżało coś, co sprawiało na razie wrażenie jakoby paru niezręcznie spakowanych, ciężkich tłumoków z łachmanami, rzuconych w pośpiechu byle jak na ziemię.

Wyskoczyliśmy ku nim z krzaków. Były to dwa trupy żołnierzy bolszewickich, leżące w zakrzepłych kałużach krwi.

Pędem, przeskakując po kilka naraz schodów, wbiegłem do domu przez drzwi szeroko rozwarte. Od razu rzucił mi się w oczy ten sam obraz dokładnego zniszczenia, co w dworku, który opuściłem przed paru godzinami. Obmierzłość spustoszenia, panująca w znanych mi od dzieciństwa kątach, owiała mnie czymś tak przykrym, jakbym wszedł do grobu sponiewieranego bezecnie.

Na balkonie, pod którym leżały owe dwa trupy, odnalazłem pierwszą znajomą twarz. Ze zwisającą na piersi głową siedział tam w pozycji człowieka żywego – mój ekonom, któremu legenda folwarczna przypisywała załatwianie z żydowinami nocnych transakcji o pszenicę... Był martwy. Zarżnięto go w sposób urągający wszelkim opisom. Obok leżała potrzaskana w kawałki dubeltówka oraz kilka wystrzelonych z niej ładunków z tektury, zasmolonej

prochem. W rozpaczy, która poczęła mi ścisnąć piersi, jakoby okrucieństwem kleszców żelaznych, uczułem coś w rodzaju osobliwego zadowolenia... Ten, jak by go w starej powieści określano, „wierny sługa”, nie dał się przecież zarznąć jak łagodny baran, ale wpierw „napsuł” paru napastników, z prawdziwie ekonomiczną fantazją rznął z myśliwskiej dubeltówki w krwiożercze mordy bolszewickie. Kaczym rznął w nie śrutem!...

Powoli włączając krok za krokiem zszedłem po schodach na dół do splądrowanych pokoi, potem – na dwór. W roztargnieniu patrzyłem dokoła. Oczy zająłem jakąś łątką, która fruwała wzdłuż przeraźliwie białych ścian domu, okrytych liściastą koronką ciemnego bluszczu, niby żałobnymi festonami, okrywającymi czyjś wielki biały katafalk. W zupełnym roztargnieniu, w całkowitej nieobecności myśli świadomej, wysłuchiwałem raportu kaprała, że „wszystko jest w porządku i nic podejrzanego nie znaleziono”.

W trakcie tego, gdy byłem pogrążony w najgłębszą obojętność, w kamienne nieistnienie duszy – z pobliskich krzaków wyczołgało się ku mnie, cicho skamłając, jakieś stworzenie. Rozpoznałem w nim starego przyjaciela domu, psa wabiącego się Cezar, który był wielkim ulubieńcem Marychny. Czołgał się tylko za pomocą łap przednich, tylne zaś włókł za sobą niewygodnie, jak to czynią psy, mające przetrącony grzbiet. Poznał mnie i, wciąż skamłając po cichu, zaczął sędziwym pyskiem łasić się do mych kolan. Patrzył prosto w oczy wzrokiem wiernym i na znak uciechy usiłował merdnać ogonem. Ocucił mnie ten jego psi zaprzysiężony wzrok. Nie wiedziałem, że tyle iście ludzkiego wyrazu i taki ból wielki może zawrzeć w sobie wierne psie wejrzenie.

Tymczasem Cezar, wciąż na mnie się oglądając i jakby za sobą wabiąc, poczołgał się w stronę oficyn. Tknięty przecuciem, poszedłem za nim. Doszliśmy do studni,

znajdującej się obok oficyn. Była to studnia wiercona jeszcze za sprawą mego ojca, głęboka na kilkadziesiąt stóp, nad ziemią obmurowana tęgimi głazy. Gdy Marychna była dzieckiem, sprawiało jej radość zaglądać do tej studni. Robiliśmy to razem, wykrzykując dla jej uciechy na cały głos różne słowa, różne imiona w głąb czeluści studziennej, na której dnie świecił mały krążek wody, niby pierścień uronionego do studni księżycy na nowiu. Ogromnie nas zabawiało, gdy wyłożona kamieniem wilgotna czeluść odzywała się na nasz głos stłumionym i dźwięcznym, podobnym do dzwonienia w uszach echem...

Przy studni Cezar się zatrzymał, węszył długo w szparach i pęknięciach studziennego nadmurowania, wreszcie zadarł w górę pysk i, z przymkniętymi oczami, zaczął wyc przeciagle, żałośnie. Okropna myśl zaświtała mi w głowie. Cezar zamilkł na chwilę, po czym zawył jeszcze przenikliwiej, z całej swej dziwnej duszy psiej, czującej to, czego człowiek wyczuć nie zdoła. To wycie przenikało mnie do głębi, jątrzyło do żywego, niby palec nielitościwy, gmerający uporczywie we wnętrzu głębokiej rany...

Ujrzałem cień ludzki, poruszający się na piasku u moich stóp. Szedł do mnie brodaty, zgarbiony wiekiem, trzęsący się człowiek. Nie zauważyłem, kiedy wychodził z oficyn. Zanim przemówił, przypomniałem sobie, kim jest. Był to rezydent folwarku, jak są rezydenci dworu. Coś kiedyś, przez długie lata robił w majątku, a gdy na starość zniedołężniał, żył na chlebie łaskawym, pilnując latem owocowego sadu.

– A to jaśnie pan wrócił z wojenki? – odezwał się starzec. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... Wszystko zrujnowały te bolszewiki. Nie zostawiły nic a nic. Do korzenia wycięły calusieńki sad... A taki w tym roku zapowiadał się piękny urodzaj... Dopust Boży i tyle...

– Gdzie jest panienka? Mówcie, człowieku, prędzej! – krzyknąłem, potrząsając go z całej siły za ramiona.

– Jaśnie panienka? – westchnął i załzawił się dziad. – Świeć Panie nad jej duszą... Nie ma już jaśnie panienki...

– Więc co się stało z nią? Gdzie jest? Mówcie!

– Jaśnie panienka jest tu, o tu! – i wskazał ręką na studnię. – Bo może jaśnie pan nie wie, że tego wieczora jak oni przyszli, pan ekonom rozsierdził się bardzo, aż strach, i z ganeczka do nich okrutnie raz za razem strzył. Była z tego cała bitwa, nimta go uspokoiłi po swojemu. A potem jaśnie panienkę znaleźli w pokojach. Z szafy, gdzie się chowała, za warkocz wyciągnęli i powiadają, aby dała klucze do piwnicy. Tronków pańskich zachciało się żołdatom skosztować. Sami pili, panienkę pić przymuszali. Nie wiem, jak to tam było mianowicie, ino miarkuję, że musiało być ze wszystkim źle. Bo patrzę i widzę – Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami! – wybiegła panienka ze dworu boso, niebożę, a w jednej koszulinie... I gna pędem, co ma sił, gdzie oczy poniosą. A za nią pijane żołdaty biegną wielgą kupą i krzyczą: u-ha!... Panienka bez klomb, oni bez klomb, panienka naokoło bżowego krzaku, i oni na około krzaku. Ale od razu dogonić nie mogli, bez to, że od pijaństwa ledwo się na nogach trzymali. Tak aż do studni tej pędzili, a dognać przecie nie mogli. Ja jeden, a ten pies, co tutaj wyje, drugi, byliśmy tyło we dwóch do obrony panienki, bo jeszcze rankiem wszystkie dworskie ludzic na wieś pouciekały. Cóż ja stary poradzić mogłem? A psa, jak do gardła jeich skakał a zębami chwycił, tak ci zmacali kijem po grzbiecie, że ino gnaty teraz za sobą wlecze. A jak panienka zobaczyła, że już nie ma dokąd od żołdatów uciec, ino chwyciła się a ścisnęła rękami za głowinę jasną i, jak była w koszulinie jednej, tak wbiegła na zrab studni, a stamtąd prościuteriko chluś do wody głębokiej... Nic, ino jakby świecę białą wiater zdmuchnął... Zbiegły się

wszystkie żołdacy. A dziwowały się, a porozdziawiały japy, a zaglądali jeden po drugim, co w studni się robi. Coś długo, z parę pacierzy, uredzali mniedzy sobą, aż uredzili wrócić do dworu. A potem pili zdrowo, aże do białego pili dnia, a tego pukali sobie na wiwat ze wszystkich fuzjów bez całą noc...

Tak mi o siostrze mojej opowiedział świadek jej śmierci, słowo po słowie wbijając w mózg i oniemiałe serce, niby rozdierający, tępy gwóźdź po gwoździu. Chciałem go jeszcze o coś zapytać, ale nie mogłem...

Język nie chciał mi się obrócić, struchlał jak zmarznięty, listopadowy liść. Warg nie czułem, a raczej czułem je jako dwie drzazgi martwe i suche.

Nachyliłem się przez zrab studni, aby zajrzeć w jej głębinę, tam... Ostre kanty kamiennych cembrowin sterczały w czeluści niby narzędzia katowskie. Marychna, zanim do wody doleciała, o te głązy ostre tłukła się pewnie biednym, nagim ciałem...

Cicho było w studni. Głęboko, na samym dnie, świeciła woda. Wilgoć spadała z cembrowin, dzwoniąc kropla po kropli. A po każdej kropelce na jasnym oku dalekiej wody powstawały zmarszczki, jakoby drganie sieci pajęczej na okrągłym lusterku, w głębinę wielką uronionym...

Długo patrzałem w obrączkę wody, świecąca się na dnie.

Aż z tej wody studziennej, z mogiły wilgotnej, z czeluści ciemnej począł iść na mnie i wiać mi w twarz jakiś straszny zawiew. Oddychałem nim, a on me płuca darł niby pazurami, rozchodził się stamtąd i tętnił wraz z krwią, tężał w całym ciele, wnikał w każdą jego komórkę, rozrastał się po wszystkich kościach i żyłach na kształt kolczastego krzewu. Poczulem w sobie nienawistną, okropną, z niczym porównać się nie dającą chęć zemsty, zemsty za własną, za rodzoną krew!...

I chęć ta na podobieństwo burzy, która targa całym drzewem i konwulsyjnie wykręca mu wszystkie gałęzie, porwała całe moje jestestwo duchowe i cielesne. Chciałem natychmiast brać się za bary z górą nieszczęścia, która tak przygniotła mnie!

Błuzniąc Bogu i wszystkiemu, co jest na niebie i ziemi, począłem iść przed siebie, iść na oślep, aby odszukać tych, którzy mi siostrę do studni zagnali, żeby się na nich pomścić w sposób straszliwy, tak, jak nikt nigdy na nikim nie pomścił się jeszcze.

Żołnierze, myśląc, że z desperacji utraciłem rozum, i z troski o moją osobę, poszli za mną.

Szliśmy w milczeniu parę stająn drogą, prowadzącą od Jaskrońca, w stronę, dokąd odszedł nieprzyjaciel. Kapral nieśmiało o czymś mówił do mnie, coś usiłował wyperswadować. Dał wreszcie spokój. Nie odzywałem się zupełnie.

Nie wiem, jak daleko zaszlibyśmy wówczas, gdyby nie zdarzyło się coś, co mnie zawróciło nie tylko w owym marszu szalonym, ale i duszę zepchnęło na drogi, którymi dotąd idę.

Na jednym z licznych w owej okolicy wzgórz, wznoszącym się opodal drogi, dojrzałem coś, jakby zarys okopów, świeżo usypanych. W zapamiętaniu, które z obłędem graniczyło, ruszyłem wprost na urojone okopy, sądząc, że się tam rozpocznie zemsta moja, albo, że zginę i cała męka na wieki się skończy...

Słońce zapadało właśnie za owo wzgórze, czerwieniąc zachodnie niebo szkarłatem niezmiernie krwawym. Na szczycie wzgórza kilka krzaków uschłych czy bezlistnych wyolbrzymiało do rozmiarów fantastycznych, jak to bywa na polu, w tej godzinie światła, spadających ukośnie. Purpurowa żrenica słoneczna, pozbawiona już aureoli dziennej, podobna do niesamowitego księżyca w pełni, patrzyła przez te

wyolbrzymiały pręty czerniejących na wzgórzu krzów, niby przez czarne palce, rozstawione szeroko.

W miarę, jak zbliżaliśmy się do wzgórza, słońce kryło się stopniowo, aż znikło zupełnie za jego szczytem. Natomiast w miejscu, gdzie słońce znikło, zaczęło coś powstawać olbrzymim, niewyraźnym, czarnym kształtem potwornie się narzucając skrwawionemu niebu.

Stanęliśmy nagle, zdumieniem w miejscu przykuci, zaś fantastyczna zjawka, czerniejąca na szczycie wzgórza wśród niebios szkarłatnych, rosła i olbrzymiała, poruszając się z wolna.

W mgnieniu oka wbiegliśmy na wzgórze. I ujrzeliśmy rzecz niepodobną do niczego na ziemi.

W oglądanym z dołu, olbrzymiejącym w oczach potworze rozpozналиśmy zwierzę, właściwie bardzo nawet pospolite. Był to potężny koń, z rasy koni pociągowych, tak zwany perszeron. Ale był to koń – odarty ze skóry. Wzdychając głęboko i postępując ludzkim prawie głosem, wgramoliło się po coś to żyjące ścierwo końskie aż na szczyt wzgórza. Jakże ohydnie świeciła ta poruszająca się kupa mięsa odartego dokładnie ze skóry, oprócz końskiego łba, który zwisał do ziemi ciężarem nie do udźwignięcia!

– Patrzcie, koledzy, ten koń ma nogę złamaną. Nie mogli go zabrać ze sobą, to, psiekrwie, skórę z niego zdarli i z sobą zabrali! – objaśniał kapral żołnierzy.

Zamyśliłem się bez myśli, czułem bez czucia, patrząc na umęczone zwierzę.

Ścierpła mi wszystka dusza i z tej duszy zdrętwiałej odeszła chęć wszelkiej zemsty, podobnie jak ze ścierpniętej dłoni sam się wysuwa sztylet.

Zacząłem myśleć rozsądniej. I poniechałem mego szaleństwa. A to z dwóch powodów: po pierwsze – już samo zajęcie Jaskrońca przedsięwzięłem wbrew rozkazom, dalsze

zaś kroki byłyby samowolą dziką; po wtóre – ów koń na wzgórzu narzucił się mojej wyobraźni jako wielki, wyrazisty symbol czegoś, co było większe nad mój ból, a co zarazem generalnie usprawiedliwiało wszystko, cokolwiek zdarzyć się może. Wtedy tylko to poczułem, chociaż do zrozumienia tego dochodzę żmudnie dziś dopiero, ale wówczas wystarczyło przeczucie samo.

Pośpiesznym krokiem wracaliśmy do kompanii, umieszczonej w zagajniku na szosie przed Jaskrońcem.

A za nami pozostał straszliwy koń na wzgórzu. I w krwawych łunach zachodu widniał w oddali na swym wzniesieniu – olbrzymi, potworny, czerniejący kształtem – jakby żywy, męczeński pomnik przez Wojnę samej sobie ku własnej zelżywości i słusznej hańbie w obliczu Boga wzniesiony.

V

Nazajutrz batalion, do którego należała moja kompania, miał sposobność zetknąć się z nieprzyjacielem, z czego wynikł szereg zaciętych, krwawych potyczek. Podczas jednej z nich ległem na polu walki porąbany i na wskroś skłuty, niczym manekin, przeznaczony do ćwiczenia rekrutów w robieniu bagnetem i bronią sieczną. Już nie pamiętam, jak mnie – z gębą pełną słonej krwi, z żółto-czerwonymi płatami, latającymi w oczach, zbroszonego w kilkunastu miejscach od zakrzepłej posoki – dźwignięto z ziemi na nosze, po czym bardzo długo niesiono, a jeszcze dłużej wieziono na trzęsącym drabiniaku chłopskim. Aż od trzęsienia kół, wywracającego wnętrzności, od spiekoty słońca, które do ran przykładło jakoby rozżarzoną blachę, od pragnienia wyżerającego gardło niby suchy, palący pieprz, a także od zajadłości much i bąków, włączających natrętnie do ust, nosa, oczu, uszu –

straciłem wreszcie przytomność i odzyskałem ją dopiero w szpitalu wielkowiejskim, w białej widnej sali, na białym łóżku, okręcony szczelnie białymi bandażami, niby mnóstwem pieluch i powijaków.

Miałem teraz czas do myślenia i rozpamiętywania.

Ropiejące, obrzydłe rany, pełne ustawicznego ognia, piekły i doskwierały, jakby we wnętrzu każdej taił się rozżarzony węgiel. Zaognione ciało, nabierając materię, ciążyło nieznośnie w kilku naraz miejscach, jakby tkwiło we mnie mnóstwem zadzierżystych haczyków, uczepionych do wielu nitek, te zaś, na kształt cienkich strun, naciągnięte były do ostatnich granic możliwości przez jakieś liczne ołowiane ciężarki. Poza tym trawiła mnie nieustanna gorączka. Świat jawy i świat uludy sennej zagmatwały się i poplątały w jedną fantasmagorię i widziałem te dwa światy, niby dwa o różnych kolorach obrazy latarni czarnoksięskiej, nałożone na siebie w tym samym czasie i przestrzeni.

Szczególnie trapiło mnie jedno widzenie, nadchodzące uparcie z niezmiennym powtórzeniem szczegółów.

Skoro tylko zapadałem w gorączkowy półsen, natychmiast mi się majaczyło, że leżę, niby po potyczce, porąbany i z pokłutą pierśią, na trawniku przed dworkiem położonym przy drodze do Jaskrońca – tam, gdzie widziałem łabędzie, wszczepione szyją w drzewne widełki, oraz rękę zakopanego żywcem, wskazującą na coś straszliwym gestem spod ziemi. Dokoła mnie róże, malwy, georginie i słoneczniki tkwią kikutami łodyg, pościananych dla zabawy kijem czy też knutem. Reszta ich kwiecica, na szczątkach łodyg pozostała, przymiera na upale okropnym, który i mnie, leżącego wśród tych pościananych krzewów, oblewa potokiem niemal płynnego gorąca. Jest i studnia, ta, co w Jaskrońcu, koło oficyn... Jej okrągły zrąb, z potężnych murowanych głazów, wznosi się opodal pośród traw kwitnących, wyrosłych na

wysokość kędzierzawiejącego owsa. Mdli mnie niewypowiedzianie. Czuję, jak od gorąca rozkładam się za życia i cuchnę jak trup. Oczy, ogromne z przerażenia, mam utkwione w zrąb studni.

W którymś okamgnieniu wychodzi ze studni umarła siostra moja, Marychna, a tak prosto, naturalnie jakoś stamtąd wychodzi, jakby szła z otwartych drzwi domu. Jest jeszcze ową dziewczeczką siedemnastoletnią, którą zostawiłem idąc na wojnę. Stąpa boso po kędzierzawej trawie, sięgającej do jej kolan drobnych, okryta tylko giezłeczkiem białym, przekrzywiającym się na jedno ramię, które spod płótna odsłania się – zmarniałe i strasznie wychudłe. W ręku ma konew ogrodową, dużą, do polewania kwiatów. Konew pełna jest wody, bo słyszę, jak blaszane denko od ciężaru wygina się co raz i chlupocze, i dźwięcznie puka. Opatruje Marychna ze zmartwieniem wielkim krzewy połamane i leje na nie z konwi wodę, lecącą przez siatkę blaszanego kaptura srebrnym, szmerliwym deszczykiem. Pieczołowicie ogląda malwy i słoneczniki, podnosi ich łodygi, wdeptane w ziemię, wyprostowuje ku słońcu. Ale nie widzi mnie. Nie chce zauważyć. Przechodząc koło mnie, odwraca zamyśloną twarz i nachyla się obok, zajęta pilną robotą smutnej ogrodniczki.

Przemówić do niej chcę, lecz nie mogę. Język mam wbity głęboko do gardła niby kołek z suchego drewna. Więc myślę do Marychny niewymownym wzdychaniem ducha:

– Siostrzyczko dobra, zechciej spojrzeć na mnie... Umieram i cuchnę sam sobie, jak trup... Pragnienie pożera mnie ogniem palącym... Nad słonecznikiem złamanym się schylasz i zwiędłe malwy polewasz jasną, srebrną wodą... Nade mną się pochyl, siostrzyczko dobra, zwilżyj moje usta łagodną wodą...

Odchodzi, nie spojrzawszy na mnie. Konew wysoko nad głowę podnosi i dnem do góry wytrząsa, jakby chciała pokazać, że już jest próżna. Do studni wraca i przez szczelny

zrąb kamienny wchodzi łatwo, znikając zwyczajnie, jakby w otwartych drzwiach domu...

W tejże chwili słyszę potężne dudnienie jakby pustej beczki, połączone z hałaśliwym turkotem ciężkich kół, zgrzytających po żwirze, oraz wrzask kilku głosów ludzkich, jakby wspólne nawoływanie wielu poganiaczy.

Przed studnię zajeżdża na olbrzymich dwóch kołach beczka, tak duża, że zasłania mi sobą widok połowy nieba. Ten niezgrabny wehikuł, podobny do starorzymskiej bigi, ciągnie grubymi postronkami jakiś potwór kulawy. Wzdycha, jak miech, i postępuje astmatycznie. Poznaje w nim konia ze wzgórza. Na jego nagim, żywym mięsie roi się od krwawych bąków i zielonych much. Nadaremno się od nich opędza nieustannym dreszczem obnażonych mięśni; nacierają na niego i tną zjadliwie, unosząc się żwawymi obłoczkami nad kościotrupiastym grzbietem. Jacyś żołnierze (niby z mojej kompanii) nabierają do beczki wodę ze studni. A koń stoi cierpliwie, drży tylko, broniąc się przez owadami całym mięsem odartym ze skóry, niby w ataku febry i patrzy na mnie oczami zbielełymi od męki. Ohydne zielone muchy odłączają się od żywego ścierwa i lepią do mych warg. Zamykam oczy, lecz znów czuję, jak łożą po moich powiekach, mokre i obmierzłe. Płynie czas, mierzony ostrym tętnem ściśniętego ohydą serca, niby – ciosami noża, zadawanymi w każdy, żywy jeszcze fragment ciała...

Po pewnym czasie słyszę tuż nad głową skrzypienie kół. Uchylam powieki. Widzę, że beczka sprzed studni odjeżdża. Ledwo może ją ruszyć z miejsca kulawy, męczeński koń. Więc żołnierze biją go batem, sznurami lejc, kolbami karabinów, kopią go w brzuch, rzucają się na niego wszyscy z zaciekłą furją, w paroksyzmie okrucieństwa, chcąc go zmusić, aby nadmierny ciężar wiózł truchtem, kłusem, galopem... Wreszcie znikają mi z pola widzenia, lecz długo jeszcze słyszę

klaskający odgłos ciosów bata i lejc, wymierzanych w żywe mięso, oraz zbiorowy krzyk poganiaczy: „Ulululu”! i „Wista”...

Tygodniami całymi dręczyły mnie te widzenia. Jęczałem wtedy i wzdychałem, płakałem i rzeziłem przez sen, jak konający. Ile razy wydarłem się z objęć koszmaru, zawsze stała nade mną szarytka, przełożona tej sali, gdzie leżałem – siostra Honorata – i patrzyła uważnie, pełna współczującego zatroskania.

Siostra Honorata zewnętrznie składała się, jak każda szarytka, z kornetu, podobnego do białej mewy rozpinającej skrzydła, z sukni zakonnej o kroju jakby staromodnym i z wiszącego u pasa różańca o grubych, czarnych ziarnach, z krzyżykiem na końcu. Co do jej zalet wewnętrznych, najlepiej i najkrócej ją określe, jeśli powiem, że miała w sobie wiele cierpliwości, wyrozumienia, dużo jakiejś mądrej dobroci i umiała do rannych i chorych bardzo rozsądnie przemówić. Sądząc ze sposobu jej mówienia i bycia oraz z tego, że pielęgniarki, niezadowolone z wymagań siostry Honoraty, nazywały ją poza jej plecami „hrabiną” – była to osoba należąca w swoim czasie do tzw. towarzystwa.

– Obudziłam pana, bo pan znów strasznie jęczał przez sen – powiadała, kładąc dłoń na moim czole.

– Dziękuję siostrze. Śnią mi się złe sny. Wciąż i wciąż ten sen...

– Sen mara, Bóg wiara, panie poruczniku. Jak człowiek ma na sercu lekko, nie trapią go złe sny.

– Nie każdemu jest na sercu lekko, siostro Honorato...

– Więc trzeba, aby było każdemu... Szczęśliwi byśmy byli wszyscy, a jaki piękny wtedy byłby świat...

– Cóż trzeba zrobić, aby mieć w sobie tę lekkość serdeczną?

– Przypomnieć sobie tylko, że jest Bóg. I uwierzyć w to, że On, jako Chrystus, był wśród nas, że w ludzkim ciele chodził po ziemi i ukochał naszą nędzę...

– Każdy ma swojego Boga, siostró...

– Ma, na jakiego zasługuje. Stąd ludzi nieszczęsnych, złamanych losem, nie zadowolonych z życia tyłu jest, ilu mamy różnych bogów. A Bóg w Swej Trójcy Świętej jeden jest. I dla nas, ludzi niedoskonałych, nazywa się: Chrystus.

– Cóż odpowiem, kiedy ta teologia mnie nie wzrusza. Było to dobre kiedyś dla wszystkich, dziś wystarcza – niektórym. Kobiety i dzieci są bardziej uczuciowe, więc jeszcze w to wierzą, a ja już nie mogę.

– Bo się pan, taki duży i mądry mężczyzna, wstydzi w to wierzyć, w co kobiety i dzieci wierzą, wstydzi się pan uwierzyć w Chrystusa. Lecz kto się Chrystusa wstydzi, tego się wstydzi i Chrystus. Czy pan wierzy w wielką, powszechną miłość wśród ludzi?

– Chciałbym w nią wierzyć...

– Otóż dla was, niewierzących w księża, jak je nazywacie, bajdy, Bóg i Chrystus to właśnie owa wielka powszechna Miłość. Bo Zbawiciel powiada o sobie: Jam jest miłość najwyższa. I poucza, byśmy się nade wszystko społecznie miłowali. Miłując się społecznie, stwarzamy w sobie jedynego Boga. Lecz my wstydzimy się tej miłości. Więc i miłość najwyższa wstydzi się nas. Stąd nie ma końca utrapieniom ludzkim, głodom, morom i wojnom powszechnym.

– A to dobre! – zawołałem. – Jakże mam ukochać tych, co mi jedyną siostrą moją do studni wpędzili?

– Bóg ich osądzi i z pewnością pomści się lepiej, niż pan. Bo czy pan myśli, że gdyby się za śmierć siostry pomścił na nich, obłupiwszy ich własnoręcznie ze skóry, to by panu ulżyło na sercu?

– Wątpię...

– Toteż sądzić ich będzie to, czego nigdy w sobie nie mieli, a zemści się na nich najstraszliwiej to, co przez całe życie poniewierali: Miłość, czyli Bóg. Czy pan mniema, że człowiek szczęśliwy jest, czyniąc zło? Dla człowieka naturalną jest rzeczą czynić raczej dobro, tak jak dla słońca – świecić i grzać, a dla drzewa – kwitnąć i owocować. Słońce, które nie świeci, jest umarłe, drzewo, które nie kwitnie – jest uschłe. Jeśli zatem czyny człowieka, stworzonego po to, aby miłując bliźnich – dobro czynił, są złe, okrutne, ohydne – cóż musi dziać się w nim samym, w jego głowie i sercu? Więc nie pomstą będziesz z nim walczył, ale skuteczniej – miłosierdziem. A jeśli chcesz zwyciężyć go, odpuść mu, bo to czyniąc „węgle ogniste zgromadzisz na głowę jego”. Powiada tak Pismo, które traktujecie, panowie, jak książeczkę odpowiednią dla drobnej dziatwy szkolnej, w najlepszym zaś razie stawiacie je, gdy chodzi o praktyczne zastosowanie, na jednym poziomie z elukubratami europejskich profesorów od metafizyki lub z importowaną mistyką rozmaitych pań Bławatskich, stworzoną dla zamożnych próżniaków i nudzących się histeryczek.

– Siostra Honorata jest wymowna jak dysputujący Ojciec Kościoła – żartobliwie ją zbywałem niewyraźnym uśmiechem.

– Ale siostra Honorata ma rację, której nie ma pan! – z głębokim przekonaniem odpowiadała szarytka.

– Bo ja wiem... może i ma... – pojednawczo kończyłem nasze dysputy.

Po jednej z takich rozmów, na zdrowiu czując się już lepiej, myślałem o tym i o owym, patrząc na wychudłe od choroby ręce moje, leżące na kołdrze, na którą szyby okna, odbijające jesienne słońce, rzucały żywe, roześmiane refleksy.

Myśl moja obracała się mimo woli wciąż koło konia ze wzgórze, bowiem sen wyżej opisany nie przestawał mnie trapić co dzień po dawnemu. W chorobie i nieszczęściu ma się

skłonność do przesądów, a ponieważ i czasu wtedy nie brak do ustawicznego myślenia na temat, który wyobraźnię porusza, więc na wszelki sposób obmyślałem swój sen, widząc w nim niejaki znak, sygnał dawany zza świata. Bo i w tak zwany zaświat zaczynałem już wtedy wierzyć.

Czułem w tej godzinie w sobie wielką tęsknotę. Marzycielstwo smętne przenosiło mnie w siostrzane, kołyszące ramiona, ukazując cały świat w świetle radośnie cichym, jakby widziany przez tę szybę, błyszczącą słońcem jesiennym. Poczucie uroczystej samotności własnej, tej, co to w zadumaniu naszym łączy nas Bożym przeniknięciem z tym wszystkim, co jest stworzone pod słońcem i księżycem – owładnęło mną, jak prąd wielkiej rzeki prowadzi łódź bez wiosła płynącą.

„...Jeśli czyny człowieka stworzonego po to, aby czynił dobro, są złe i tak ohydne – cóż musi dziać się w nim samym, w jego głowie i sercu? ” – przewiały mi przez myśl słowa siostry Honoraty, jak nić babiego lata w powietrzu przewiewa. Jeśli tedy czyny tych ludzi, co jedyną siostrę mi zamordowali, którzy bliźnich żywcem do ziemi zakopują – są tak ohydne, jak ów odarty ze skóry koń na wzgórzu, ten ucieleśniony symbol czynu ich rąk – cóż dziać się musi w nich samych? Czyż nie jest dusza ich czymś stokroć, tysiąckroć straszliwszym w swej nędzy i ohydzie i czymś cierpiącym dotkliwiej jeszcze bólem niewypowiedzianym – aniżeli owo okropne żywe ścierwo końskie? I czy ja sam, wyznając czynnie zasadę: oko za oko, ząb za ząb – duszę mam lepszą, doskonalszą niż oni? Sześć lat wojny nie wystawiło sobie i w mej duszy pomnika w duchowym kształcie konia odartego ze skóry na wzgórzu serca mojego? Serca, które sześć lat uczyło się nieludzkiej obojętności, aby tym łatwiej nienawiść rodzić? Zatem tę, zionącą na cały świat, przepaść zdziczenia i nienawiści, której na imię: bolszewizm, my „obrońcy

cywilizacji i chrześcijaństwa” zdołamy zasypać, jak faszyną, jedynie gruzem polskich ciał, pozbawionych ducha wyższego niż zły duch miotający się w przepaści? Czymś zasadniczo innym stać się musimy. Bo kto by chciał nienawiść i zło złem zwalczać i nienawiścią, niech pamięta, że wielką nienawiść zwalczy tylko od niej większa, zaś zło wielkie może być pożarte jeno przez zło, od wielkiego większe. Czy jednak wbrew swej naturze polskiej, z której się chełpimy, że jest wyższa od moskiewskiej, zdołamy wytworzyć w sobie nienawiść i zło większe od tego, z którym tak krwawo walczymy? A jaki jest kres nienawiści i zła; czyliż pożarłszy, co pożreć mogą, same siebie w końcu nie pożerają, jak to się stało w państwie nieszczęsnym, które za godło ma krwawą płachtę zatknietą na bratobójczym bagnecie?

Setki pytań, w rodzaju tych, przelatywały mi przez głowę.

Aż jaśniejsza od nich wspanialszą błyskawicą rozświetliła mnie całego i zadzierzgnęła się węzłem ostatecznym ta oto myśl:

– Przeciw ich duszy, okropnej, jak ów koń na wzgórzu, odarty ze skóry – musimy wystawić zwyciężające wszystko Boże człowieczeństwo duszy. Oto jedyny sposób i środek zwycięstwa. Inaczej – biada nam!...

Niezliczony rój myśli, niby rój mądrych pszczół, zaczął dzwonić w mojej duszy o rzeczach starych i oklepanych od dwóch tysięcy lat jak dziadowski pacierz pod kościołem, lecz równie jak słowa tego pacierza cudownych, rodzących ład i piękno życia i zwyciężających śmierć.

...Odpuść mi winy moje, jako i ja odpuszczam im wszystkim... im wszystkim... – wyszeptalem idącym z nietkniętych wojną jakichś głębin serca, modlitewnym samozłożeniem się ust.

I rozkwitłem w tej chwili sznurami słodkich łez, jak bisiolem nowonarodzonego pąkowania bezlistne rozkwita

drzewo w kwietniowy świt, w mgnieniu nie podpatrzonym przez niczyje oczy...

Ze łzami w oczach zasnąłem.

I znów mi śnić się począł dawny sen.

...Że leżę na trawniku, porośłym kwitnącą trawą, podobną do kędzierzawego owsa, wśród połamanych krzewów róż i georginii, słoneczników i malw. Opodal wznosi się zrąb studni, murowany z potężnych głazów. Nie dolega mi już nic. Odświeżenie jest mi w duszy, choć jeszcze strasznie jestem chory i w jakieś bandażę tak szczelnie, mocno owinięty, że nie mogę się poruszyć. Lecz pełen jestem takiego radosnego zatajenia się w sobie, takiej otuchy ufnej, taki rozśpiew wewnętrzny nadziei wielkiej we mnie wzbiera, że ten stan da się porównać chyba z niewysłowionym uczuciem motyla, który na mgnienie, krótsze od rozłożenia swych skrzydeł, wyfrunąć ma z truchła poczwarki. Myślę różne rzeczy, a co pomyślę – wnet mi się staje. Lecz nie wiem, czy to, co się staje, staje się zanim pomyślę, czy potem, czy może to stawanie się cudowne odbywa się razem z myślą moją...

Przychodzi mi na myśl Marychna. I – jest Marychna. Zanim pomyślałem o niej, już wyszła spośród głazów zrębu studziennego, a tak zwyczajnie wyszła, jak przez drzwi otwarte. Stąpa bosa po trawie, sięgającej do jej kolan drobnych, odziana jedynie w gieźleczek białe, przekrzywiające się na jedno z ramion. Konwi w rękę nie dźwiga. Wprost ku mnie idzie.

– Siostrzyczko dobra, weź mnie ze sobą, weź! – myślę do niej.

A myśl własna rozległa się w mej duszy, niby słowo na głos mówione, mające moc cuda czynić, kamienie ożywiać, drzewa uschnięte pokrywać liściem i rozkwiecać, umarłych wskrzeszać.

Nie wiem, kiedy i jak, ale z ziemi już łatwo się podźwignąłem i obok dobrej siostrzyczki idę, objęty rodzonym jej ramieniem, niby wiosennym obłokiem albo gałęzią kwitnącej jabłonki.

Idziemy w świat-nieświat, w zaświat-niezaświat. A na naszej drodze cuda się dzieją. Połamane róże i georginie, malwy i słoneczniki, na rozkazanie nasze, ustami mi wymówione, odrastają w oczach, pączkują i oblepiają się obfitym kwiatem wszystkich zapachów i barw. Trawy rosna bujnie. Słyszymy, jak rosna. Stają się wysokie jak pszenica, kiedy kwitnie, potem stają się jak zagajnik leszczyny w maju, gdy sto słowików klaskaniem w niej szaleje, wreszcie stają się – borem sosnowym, wznoszącym się pień przy pniu niby łań grubych źdźbeł potężnego zboża.

Idziemy dalej tym borem sosnowym, stąpając lekko po srebrnej pilśni mchu. A omszałe, proste pnie same się nam ustawiają w aleję leśną, w przestrzał z dawien dawna znajomy. I oto już idziemy jakby aleją sosen w lesie naszym, gdzieśmy w dzieciństwie razem chadzali. Poznają miejsce – o kilka kroków przed nami – dokąd, gdy dojdziemy, coś odmiennie cudownego musi się stać.

I ledwo postawiliśmy tam stopę – przemienił się od razu cały bór niby w kościół rozegrany i rozśpiewany, tłumny i lśniący rojami zapalonych świec – kościół wiejski w ranek Rezurekcji.

Granie dudniących organów, triumfalny współspiew chóru kobiecych i dziecięcych głosów i licznych jaskółek, mających gniazdka w oknach kościelnych, jakoby wielki, radosny, spazmatyczny skwir...

A my wśród tego powietrzem gdzieś płyniemy, bo ziemia, ruchoma jak grzbiet fali morskiej, łagodnie podmywa nam stopy i w górę unosi łatwym, potężnym rozkołysaniem. I dobra siostrzyczka pyta się:

– Wiesz teraz... braciszku... co jest... Miłość Najwyższa... która nazywa się: Bóg?!...

VI

Od czasu, jak opuściłem szpital, minęły tygodnie, miesiące. Teraz, chodząc pośród smreków prostych, zapatrzony w granitowe wniebowzbiecie Tatr, wspominam tę godzinę, co wtedy przyszła do mnie, kwitnąca od słodkich łez i ów sen, przez który wędrowałem wraz z siostrzyczką dobrą w zachwycenie duszy, uczłowieczonej odtąd na żywot nowy. W słownictwie, ułożonym dla spraw mego ducha, owo zdarzenie – godzinę łez i cudownego snu – określam jako „moje pierwsze zachłyśnięcie się Bogiem”.

Okiem uważnym, uchem czujnym zwracam się nieustannie we własną głębię i zdejmuję mnie podziw niezmierny: jak mogłem istnieć z sobą tyle lat, a siebie nigdy nie odkryć, ani razu nie zauważyć!...

Wprawdzie, jak powiedziałem na początku opowieści, nachodzą mnie często godziny tak straszliwego ucisku ducha, że na mych samotnych przechadzkach chce mi się obejmować drzewa przydrożne, przyciskać je do piersi i płakać w głos – lecz nawet w stanie tej depresji, zdającej się być ponad możliwość ludzkiego wytrwania, widzę w sobie jakiś punkt przejasny, niby owo oko błękitne, którym pogoda niebieska w jednym miejscu spogląda przez zwichrzone zwały gradowych chmur. I szybko, nawet po dotkliwym smutku (bylebym go ścierpiał cicho, w sobie), ogarnia mnie całego rozradowanie zbożne. Ów punkt przejasny, do błękitnego oka podobny, rozszerza się, rozlewa we mnie w całkowity lazur duchowy – sercem niezmierny, myślą nieobeszły, duszą nieogarnięty.

I czuję w sobie rozdwojenie przedziwne – takie jak pęk kwiatu, gdy rozkwitając, dzieli się na niepodzielne w swej istocie płatki korony, i kwiatową woń, która jest duszą kwiatu. Rozdwajam się na dwóch ludzi: duchowego i cielesnego, wiekuistego i wczorajszego, na tamto, co będzie po śmierci żyć wiecznie, i na to, co od życia w śmierci zniszczeje. I myślą – wyraźną w głowie, jak mówione w głos słowo, mające moc cuda czynić, kamienie ożywiać, umarłych wskrzeszać – wołam za Wielkim Poetą Narodu mego, wołam za geniuszem, który przez całe swe życie „podejmując trud, co go zabijał”, wydzierał śmierci jej oścień morderczy:

– Ach, któryż jestem żywy?!...

Bardzo często zaglądam do jednej starej książeczki, która ma prawie dwa tysiące lat. Jej tytuł grecki tłumaczy się po polsku jako „Dobra Nowina”. Książeczka pisana jest słowem podobnym do gwiazd, błyskawic, ptaków niebieskich, kwiatów polnych i do naiwnych powiedzeń cudownych dzieci. Ale jej wiekuiste królowanie nad nami zawiera się nie w słowach cudownych, lecz – w mocy. W ciągu dziewiętnastu wieków tysiące milionów ludzi czerpało ze źródeł tej mocy wszystką duszą i sercem całym, lecz źródłom nic nie ubyło z ich wody żywej, podobnie jak rzesze najliczniejsze nie zdołałyby w ciągu wieków, pracując wszystkim mnóstwem swych dłoni, wyczerpać głębin Atlantyku.

Znalazłem w tej książeczce rozdział krótki, patosem uczucia przewyższający wszystko, co tylko ma najwspanialszego i istotnego liryka powszechna. Apostoł pogan, największy po swym Mistrzu Ukrzyżowanym podpalacz serc ludzkich, przewodnik tych wszystkich, którzy w drodze do swego Damaszku „wierzgają przeciw ościeniowi Bożemu” – w słowie potężnym, jakby w płomiennej żagwi ducha, rzuconej ku potomnym w czeluść wieków, aby do nas, ludzi dzisiejszych, kłębem ognia niebieskiego doleciała – woła

wołaniem archanielskim: „Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał grzmiący. I chociaż bym miał prorocstwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką naukę i miałbym wszystką wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłości bym nie miał: niczym nie jest. I choćbym wszystkie majątności moje rozdał na żywność ubogich i choćbym wydał ciało moje tak, iż bym gorzał, a miłości bym nie miał, nic mi nie pomoże. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się. Nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego. Nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa. Miłość nigdy nie ginie: choć prorocstwa zniszczą, chociaż języki ustaną, chociaż umiejętność będzie zepsowana. Albowiem po części znamy i po części prorokujemy. Ale gdy przyjdzie, co jest doskonałego, co jest po części, zniszczeje. Gdy byłem dziecieniem, mówiłem jako dziecko, rozumiałem jako dziecko, myślałem jako dziecko. Lecz gdy się stałem mężem, wyniszczyłem, co było dziecinne. Teraz widzimy przez zwierciadło, przez podobieństwo: lecz w on czas twarzą w twarz. Teraz znam po części: lecz w on czas poznam jakom i poznany jest. A teraz trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większa jest miłość”.

Ileż czytam ten rozdział, będący płomiennym wichrem ducha, który przez ciąg stuleci wieje ogniem żywym i porywa się na nas w imię Miłości Najwyższej – przychodzą mi na myśl słowa siostry Honoraty:

„Że dla człowieka naturalną jest rzeczą czynić raczej dobro niż zło, tak jak dla słońca – świecić i grzać, a dla drzewa kwitnąć i owocować. I że Miłość Najwyższa nakazała nam, ażebyśmy się nade wszystko społecznie miłowali. Lecz my

wstydzimy się tej Miłości, więc i Ona wstydzi się nas. Stąd nie ma końca utrapieniom ludzkim, głodom, morom i wojnom powszechnym”.

Czymże jest wojna? Lud prosty nazywają najstraszliwszym z dopustów Bożych. Czy nie jest ona krwawym wyrównaniem szachrajskich rachunków, wystawionych Ludzkości przez tzw. zbrojny pokój? Czy sześćioletnie wyrzynanie się 55 000 000 zbrojnych mężów nie jest wprowadzeniem jakiegoś bilansu generalnego do buchalterii Boskiej, której całokształtu objąć nie możemy, gdyż sami w niej jesteśmy tylko jedną z kolejnych liczb, jedną z Bożych cyfr, ciałem i krwią wypisanych na olbrzymiej karcie bytu?

Wojna sprowadza upadek tego, co nazywa się kulturą i niszczy to, co jest cywilizacją. Lecz w jednostkach i masach ludzkich wzbudza dotkliwy głód czegoś, co jest bardziej niezbędne, niż chleb powszedni. Wojna przychodzi ku jakiemuś wielkiemu opamiętaniu ludzi. Aby syn marnotrawny nawrócił się do Ojca, potrzeba było, aby mu najpierw zbrakło pokarmu świńskiego. Aby Ludzkość mogła się nawrócić do czegoś, co jest niezbędniejsze, niż chleb powszedni, potrzeba było, aby wpierw Wojna zachwiała naszą samoubóstwiającą się inteligencję, która wyhodowała w sobie żądło samobójcze – technikę wojenną.

Przede wszystkim jednak Wojna, tak mi się zdaje, musi mieć ten oto wyższy swój cel: za jej sprawą tu, na ziemi, ma się nagromadzić, stać się ciałem pewna ilość Miłości czynnej – tyle, ile jest potrzeba do pchnięcia świata na ścieżki wyprostowane, na drogę nową, podobną do drogi mlecznej.

Bo prócz ohydy, mrozącej krew w żyłach, czyż nie rozkwita z Wojny najszczytniejsze bohaterstwo, poświęcenie się, szlachetność, to wszystko, co jest posągowym, heroicznym kształtowaniem Miłości czynnej? Jeden dzień Wojny daje tego więcej, niż sto lat zbrojnego pokoju.

A ja – czy mógłbym bez wojny dostąpić łaski „zachłyśnięcia się Bogiem”? Czy bym się odrodził, gdyby serca, które obojętnością zarosło, nie przypieczętował mi Bóg bólem nadludzkim, niby żelazem do białości rozpalonym, a na moją głowę nie nasypał rozżarzonych węgli nieszczęścia?

Oto widzimy, jak „proroctwa możliwych tego świata niszczą, języki ustają, umiejętność bywa zepsowana”, lecz Miłość, która nigdy nie ginie, zaczyna powstawać w chwale i jako Bóg Żywy objawia się w jednostkach a niebawem wybuchnie i w powszechności ogniem wszystko trawiącym.

Ta Miłość objawiona jest jak słońce. Kto jej nie widzi – jest ślepy. Dzieje się, wprawdzie, dokoła źle, a nawet coraz gorzej. Lecz to tylko wedle ciała dzieje się źle. Bo pytam: któż by w Polsce zamienił ducha dzisiejszego na ducha, który w nim marniał przed wojną? Patrzą i ja na to zło dokoła, które zaczyna już samo siebie pożerać i cierpieć, bo nie mogę nie cierpieć. Biada by mi było, gdybym nie cierpiał. Byłbym wtedy uschlą gałęzią na drzewie swej społeczności, drżącej od siekiery do korzenia przyłożonej.

Spotykam co dzień wielu ludzi. Rozmawiam z nimi o sprawach na dobie. I co mi się rzuca w oczy i straszliwym wspomnieniem przeszywa, to podobieństwo spotkanych osób, których Wojna tak lub owak dotknęła, do owej końskiej zmory ze wzgórza – podobieństwo ledwo dostrzegalne: z jakiegoś gestu, z wyrazu zmęczenia na twarzy, z martwoty w zniechęconych oczach, z jakby odartego z psychicznej skóry jestestwa tych ludzi, przejechanych druzgocącym kołem Wojny.

Widzę, czego im brak. Miłości im niedostaje. Kochają się samolubstwem zmęczonym i obojętnym. A tylko wielka Miłość mogłaby ich uleczyć. Gdyby wszyscy ludzie na ziemi miłowali się społecznie, wówczas każdy człowiek byłby półtora miliarda razy mocniej kochany, niż jest, bowiem

kochałaby go Ludzkość, półtora miliarda serc licząca, a tak: lubi się sam jeden i dlatego wystarczyć sobie nie może.

Gdy widzę wspaniałą prostotę tej prawdy oczywistej, chce mi się krzyczeć, gdziekolwiek jestem, do ludzi mi nieznanych.

– Przez litość własną – zmiłujcie się nad sobą! Nie wstyďte się Miłości Najwyższej, aby i Ona wreszcie przestała się wstydzić was!...

Myślę nieustannie o Polsce. Cóż lepszego w tych czasach miałby Polak do myślenia? Z Miłości Najwyższej wypływa niesprzeciwianie się wszelkiemu złu. Czyżby więc Polska miała się stać zbiorową tołstojanistką, biernie dającą szyję pod bolszewicki lub pruski nóż? Nie daj tego Boże! Wydaje mi się, że źle rozumiemy na czasy obecne – ideę tego niesprzeciwiania się. Bo czy jednak sens słów: „nie sprzeciwiaj się złu”, rozcłonkowany duchowo, nie znaczy tyle, co: „przeciw złu „ja” swego nie staw”, czyli: nie walcz ze złem w imię egoizmu, czy to będzie twój egoizm osobisty, czy też egoizm narodowy?

Ale walka ze złem w imię Miłości Najwyższej trwać musi i będzie! Jeśli dotychczas zwyciężaliśmy zło, działo się to dlatego, że walczące z nami hordy przerastaliśmy zawsze o jakąś jedną piędź miłującego ducha, odmierzoną królewskim szponem Orła Białego. Lecz jeśli chcemy zwyciężyć całe zło, musimy wpierw przerosnąć je duchem Miłości o całe niebotyczne Tatry.

Są ludzie, którzy nie wierzą w to, iż duch w Narodzie może się wznieść aż do takich szczytów. Oni sprawę wiekuistą, jaką jest Polska, mierzą spadkiem lub zwyżką waluty. Dla nich Polska ginie już wówczas, gdy cena na artykuły pierwszej dla nich potrzeby wynosi dziś aż tyle, gdy wczoraj wynosiła tylko tyle. Są to ci sami, którzy w listopadzie 1918 roku nazywali szaleństwem wiarę w Niepodległość Ojczyzny. Oni to podczas wrogiej nawały w lecie 1920 roku trwali w przerażeniu

biernym, nie śmiejąc przypuścić, że stratowana do połowy Rzeczpospolita powstanie na nogi jednego dnia i nad zagrożoną Wisłą groźnie zaryczy niby srogi Lew, okrutną moc w kościach czujący. Nie wierzyli wtedy, jakże uwierzą teraz?

A jednak w powszechnym zamięcie polskiej współczesności pełni się jakiś wielki czas. Godzina nadchodzi ostateczna.

Im jest gorzej, tym będzie lepiej. Wzmoże się, udoskonali, wybuchnie duch. Kto umie leżeć duchowo krzyżem na świętej ziemi polskiej i, obejmując ją z miłością, słucha, co się w niej dzieje – ten usłyszy jakby niezliczone mnóstwo odmiennie tętniących serc. To my: w nadziei zakonspirowani, legitymujący się wiarą, zbrojni Miłością. W zgiełku sejmikującego życia jeszcze nie słysząc nas. A wkrótce wzmoże się w rzeszach dotkliwy wielki głód tego, co jest niezbędniejsze, niż chleb powszedni. A wtedy przyjdziemy my, duchem dzielni, czyli się nim dzielący. Stoimy w drzwiach.

Niejeden z nas tak, jako i ja, jest schorzałym worem cielesnym, pełnym miazgi zdruzgotanych kości i zszarpanych nerwów. Ale cóż na ziemi pokona tę naszą radość ufną w to, iż nowy człowiek w nas się narodził? Ewangelista powiada: „Niewiasta, gdy rodzi, smutek ma, iż przyszła jej godzina; lecz gdy porodzi dzieciątko, już nie pamięta uciśnienia dla radości, iż się człowiek na świat narodził”. Tak i my. I dlatego w imię Miłości Najwyższej zwyciężymy świat.

I stanie się z Polską w ów przełomowy dzień to, co w poranek kwietniowy bywa z gajem, który jeszcze niedawno miał na swych różgach bezlistnych tylko pąki, podobne do śpiących pszczół. Zazieleni się i rozmań naraz cała Polska wiosną wybornego ducha. Zaś ci, którzy uparcie nie wierzyli w żaden cud, choć tyle cudów w ich oczach się stało, będą zaskoczeni jak człowiek, który w poranek kwietniowy ujrzy

nagle gaj wiosennie ulistniony, i jak on powiedzą w zdumieniu:

– Jeszcze niedawno nie było tu jednego listka, a oto już gaj cały bujnym listowiem bucha, niby płomieniem zielonym!...

Dziś mówimy jak dzieci, rozumiemy jak dzieci, myślimy jak dzieci, widząc i pokazując przez zwierciadło ducha, przez podobieństwo słowa. Lecz wtedy stanie się każdy mężem dojrzałym, aby wyniszczył w sobie, co ma dziecinne. Dziś wiemy po części, lecz wówczas Miłość Najwyższą wszyscy ujrzemy twarzą w twarz.

Jednak już teraz możemy rzec:

– Zdziercom wszelkiego rodzaju, siedzącym, niby na kupach gnoju, na stosach złupionych z bliźniego marek, których wartość spada zawrotnie w dół; politykom, sztukującym zgniłe koncepcje łatanymi nowych pomysłów; pisarzom, lejącym skwaśniałe wino sprzedajnych swych racji do zwiotczałych miechów zadrukowanej bibuły; artystom kunsztu wszelakiego, którym „pogańska żądza doskonałości w pięknie wyjaławia serce” – tym wszystkim, wszystkim, wszystkim, którzy tyle razy oglądali, lecz nigdy w żaden nie uwierzyli cud – że w Polsce powstaje plemię nowych ludzi, jakich jeszcze nie widziano.

Stoimy w drzwiach.

Eugeniusz Małaczewski
Koń na wzgórzu

Redakcja i projekt okładki:
Hanna Milewska

Copyright © for the e– book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2015

Warszawa 2015

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02– 776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl